Pasje lingwistów – Ja się deklinuję

1 października 2016

Kto jest właścicielem nazwiska? Ten, kto je nosi, czy język w którym jest ono używane?

Od wielu lat dookoła mnie doświadczam szczególnie przykrego dla lingwisty zjawiska: ludzie o normalnych polskich nazwiskach nalegają, aby ich nie odmieniano ani przez rodzaje, ani przez przypadki, czyli domagają się ich depolonizacji. Najczęściej powołują się przy tym na argument „bo mi je przekręcają”, ale czasami przyznają że chodzi im o to „aby było tak jak na Zachodzie, bo wtedy nie będzie wątpliwości”. Okropnie mnie to irytuje i od wielu lat z tym walczę. Bezskutecznie.

Z problemem rodzaju gramatycznego w nazwisku po raz pierwszy zetknąłem się już bardzo dawno, bo w szkole podstawowej, w odniesieniu do nazwisk przymiotnikowych. Miałem koleżankę, która upierała się by ja nazywać Ewa Biały, co mnie raziło, bo dla mnie była ona Biała. Dziś znam (co nie znaczy, że uznaję) zasadę, która tym rządzi, ale wtedy przeprowadziłem nawet całą dyskusję na lekcji polskiego licząc na to, że nauczycielka stanie po mojej stronie. Argumentowałem wtedy, że skoro moja koleżanka jest młoda i ładna, a nie młody i ładny, to powinna też być mądra i Biała, a nie głupia i Biały. Niestety, nie dość, że tym ostatnim argumentem po chamsku przeszarżowałem (delikatności też się przecież uczymy przez całe życie), to nauczycielka także merytorycznie twardo broniła formy Biały, podając wtedy jako argument – pamiętam to dobrze – przykład znanej pianistki, Haliny Czerny-Stefańskiej. Ostatecznie uległem, obiecując na głos, że Biały i Czerny to wszystko, na co się mogę w tej sprawie w języku polskim zgodzić, ale dalej go psuć nie pozwolę. Niestety, od tamtego czasu, choć w tej postawie pozostaję nieugięty, na poziomie towarzyskim ponoszę

klęskę za klęską, a mój upór jest traktowany jako bezsensowna obsesja, która przysparza mi wrogów.

Nadal w pierwszej kolejności dotyczy to polskich nazwisk przymiotnikowych. Są one w naszym języku dość delikatnym problemem, który niemal w każdym indywidualnym przypadku wymaga arbitralnych decyzji i różne autorytety – Miodek, Bralczyk – różnie i bardzo miękko o tym piszą. Uważam zresztą, że obaj panowie są bez jaj i w sprawach naszego języka zajmują przeważnie stanowisko bierne i asekuranckie, bardziej starając się dogodzić szybko erodującym gustom szerokiej publiczności niż bronić zasad, co – jak się wydaje – jest obecnie przywarą całego „środowiska naukawego" i tzw. intelektualistów.

Osobiście opowiadam się za zasadą maksymalnego kojarzenia płci z rodzajem gramatycznym. Nie potrafię zrozumieć dlaczego ktoś woli się nazywać Maria Zagórny, a nie Maria Zagórna, albo Anna Parkitny, a nie Anna Parkitna, bo dla mnie także fonetycznie te drugie formy brzmią zgrabniej i przyjemniej. Z jedną z tych pań nadal się lubimy, ale druga już się na mnie obraziła. Wiem o kobiecie, która używa nazwiska Bosonogi w formie męskiej, choć moim zdaniem też na tym traci, bo forma Bosonoga byłaby nie tylko bardziej poprawna gramatycznie, ale i semantycznie lepiej przylega do osoby płci żeńskiej, a może nawet i bardziej zwracałaby uwagę na jej ładne stopy, choć akurat na tym nie musi jej zależeć. Owszem, akceptuję formę Janina Kościelny (to wzięte z nagrobka, jakieś dwie-trzy aleje po sąsiedzku od grobu moich rodziców), uznając że „kościelny" to jednak także rzeczownik, który odnosi się do funkcji sprawowanej tradycyjnie przez mężczyzn, ale nie uznałbym formy Janina Zakościelny, ponieważ to nazwisko pochodzi od miejsca, z którym ta rodzina była identyfikowana i jest tylko formą przymiotnika. Dziś coraz częściej spotyka się kobiety, które domagają się aby ich polskie nazwisko wyrażać tylko w formie męskiej: Maria Kowalski, Agnieszka Dąbrowski, Paulina Górski itp. Uważam to za niedopuszczalne i bardzo bym chciał, aby kiedyś w tej sprawie zabrała głos Anna Grodzka i popędziła

publicznie kota tym niedorzecznym pomysłom. Jedyny wyjątek byłem kiedyś gotów zrobić dla pani Wandy Rapaczyński z Agory, bo nalegając na tę formę podkreślała – nie wiem czy intencjonalnie – swoją obcość (żydowskość) a więc i zwracała uwagę na odmienność i specyfikę Gazety Wyborczej, co uważam za bardzo słuszne. Zastanawiam się, na ile obecna „cywilizacja gender" wpływa na sposób postrzegania i odczuwania form rodzajowych polskich nazwisk i jaki mieć będzie na nie wpływ w przyszłości. Bo skoro jest już „ministra" i „premierka", to może jednak wróci także Biała i Czerna?

Pozwolę sobie przy tej okazji zauważyć, że etymologiczna polskość bardzo wielu nazwisk i możliwość urabiania od nich żeńskich form, także tych tradycyjnych albo nawet archaizujących, zawiera w sobie często bardzo wiele uroku i nierzadko stwarza możliwość złagodzenia mniej korzystnych skojarzeń. Miałem koleżankę, której ojciec miał nazwisko Baryła. Ona sama, zgrabna i atrakcyjna kobieta, występowała zawsze jako Ania Barylanka, co – każdy chyba przyzna – brzmiało i uroczo i przyjemnie. Inny przykład: Krystyna Czubówna, znana lektorka, głównie z narracji filmów przyrodniczych, o najładniejszym radiowym głosie w Polsce, też wypada korzystniej w takiej właśnie formie swego nazwiska, chociaż formalnie (a jest przecież z wykształcenia prawniczką) nazywa się Krystyna Czub.

Pewną niedogodnością jest tu fakt, że w polskiej tradycji kobieca forma nazwiska często wskazuje na stan cywilny, a to nawet dziś jeszcze potrafi być odczuwane jako stygmatyzujące. Barylanka i Czubówna to nazwiska w formie panieńskiej, ale miałem kiedyś koleżankę, która wyszedłszy za mąż za Bartka Wręgę, z dumą nosiła to nazwisko we własnej wersji: Wrężyna. Tak się przedstawiała i tak miała na wizytówce. Bardzo ono do niej pasowało, bo była wyrazista i energiczna jak sprężyna. Już za samo tak twórcze potraktowanie własnego nazwiska miała moją dodatkową sympatię.

Wracam do głównego problemu. O ile muszę przyznać, że odmiana

nazwisk przez rodzaje (i stany cywilne) może być kwestią delikatną, to z jeszcze większą niechęcią i irytacją od wielu lat obserwuję jak dookoła szerzy się inne i poważniejsze zjawisko: walka z deklinacją nazwisk. Zetknąłem się z tym na dużą skalę przez kilkunastoma laty, kiedy moja żona, która ma bardzo ładny charakter pisma (i nie tylko), pomagając naszemu proboszczowi, śp. księdzu Romanowi Indrzejczykowi (zginął w katastrofie smoleńskiej jako kapelan prezydenta Kaczyńskiego), podjęła się wypisania dedykacji w książeczkach, które ówże ksiądz rozdawał „pierwszym komunistom". Dedykacja zaczynała się od słów: „Takiemu-to-a-takiemu, na pamiątkę pierwszej komunii świętej….". Problem pojawił się przy nazwisku w celowniku. Nazwisk było ponad sto i w kilkunastu przypadkach rodzice zastrzegli sobie, aby ich nie odmieniać ani przez rodzaje ani przez przypadki. Powstała nawet lista takich życzeń, na której – aby nie zaczynać wpisu od celownika – pojawiło się idiotyczne w tym przypadku słowo „Dla…". W praktyce wyszły takie dziwolągi jak np. „Dla Allan Hofman", „Dla Nicole Muszyński" (to dziewczynka), „Jackowi Nalewajko" albo „Tomkowi Smuga". Ksiądz, zresztą uroczy i kochany człowiek, jak prawie wszyscy, którzy umierają za wcześnie, nade wszystko cenił zgodę i pokój, więc boje o to uważał za zbędne, a zadanie to już się potem nie powtórzyło.

Niestety, zjawisko to wchodzi w modę. Znam przypadek dużego banku w Polsce, w którym prawie cała kadra kierownicza tj. „młodzi, wykształceni, z wielkich miast", zwłaszcza, gdy wraz z awansem w głowach pojawia się woda sodowa, wymaga od swoich podwładnych, żeby nie odmieniano ich nazwisk i niektórzy robią się na tym punkcie bardzo drażliwi. Z irytacją poprawiono mnie, gdy z wiceprezesem Berkiem chciałem mówić o decyzji dyrektora Lutki („z prezesem Berek o decyzji dyrektora Lutka"). Poczułem się bezradny, ale moją próbę wyjaśniania, że wyrażenie „decyzja dyrektora Lutka" sugeruje iż dyrektor ma nazwisko Lutek, a nie Lutka, jak było na pieczątce, przerwano mi z uwagą, że „ale pańskiego nazwiska nikt tu panu nie poprawia"…

Niektórzy poloniści sformułowali zasadę, która wydaje się (im) kompromisowa: Każdy jest właścicielem swego nazwiska tylko w pierwszym przypadku. W pozostałych przypadkach nazwisko się odmienia. Nie podoba mi się ten kompromis, bo w praktyce otwiera on wszystkie dalsze nadużycia, co do deklinacji i rodzaju. Najlepszy przykład to odejście od odmiany przymiotnikowych nazwisk przez rodzaje. Godząc się na formę np. Zofia Daleki, musimy dalej rezygnować z deklinacji. Mówimy wtedy: rozmawiać z panią Daleki, a nie Daleką, zapłacić Zofii Daleki, a nie Zofii Dalekiej itp. To psuje nasz język.

Człowiek nie jest właścicielem swego nazwiska. Właścicielem każdego słowa jest język, w którym się go używa. Jeżeli o pani Kowalskiej albo o panu Dudzie będziemy rozmawiać np. po arabsku albo po japońsku, to wtedy ich nazwisko będzie się zachowywać tak jak wymagają tego tamte języki – saida Kuwalski albo Duda-san. W języku polskim muszą się odmieniać. Przez przypadki, liczby, rodzaje itp. Nasz język jest językiem fleksyjnym. Nie rozmawiamy z pani Kowalski o prezydent Duda, tylko z panią Kowalską o prezydencie Dudzie.

Myślę, że nie wolno się nam zgadzać na zaniechanie deklinacji, ani nawet ulegać temu towarzysko, ponieważ w ten sposób pozwalamy na psucie naszego języka polskiego, który jest naszą wspólną własnością i zasługuje na pełen tkliwości szacunek. Osobiście, choć nie mam natury zaczepnej ani agresywnej, zwykle publicznie się takim dziwactwom sprzeciwiam, a czasami nawet specjalnie zwracam się do takiej osoby odmieniając jej nazwisko możliwie najczęściej, co w kilku przypadkach zakończyło się niemal awanturą. Bywa, że osoby takie na moje zdanie „Chciałbym jednak przekonać pana Kluzę” albo „Już mówiłem pani Sówce” odgryzają się czasami przy użyciu błędów, które wskazują na to, że w ogóle istoty sporu nie rozumieją. Spotkałem się np. z ripostą: „A ja powtarzam panu Jeznachu, że ja się nie deklinuję”, co było obroną tyleż głupią, co bezradną (i nie omieszkałem tak jej właśnie skwitować). Słynny standard „premieru Tusku” usiłowała kiedyś wprowadzić u nas

Nelly Rokicina, ale jej gotów byłbym wybaczyć dużo więcej, bo i tak mówiła po polsku zupełnie dobrze, a obiektywnie jest to przecież język dla cudzoziemca bardzo trudny.

I na koniec żart, w który wpisuję moje własne nazwisko, choć doświadczenie nie jest moje, a żart po prostu zasłyszany. Rano dzwoni telefon. W słuchawce odzywa się głos jednego z tych komercyjnych natrętów, którzy codziennie zawracają nam głowy jakimiś ofertami: „Czy mogę mówić z panem Bogusławem Jeznach?” „Ale ja się deklinuję!” „Oj, to przepraszam, a kiedy mogę zadzwonić?”…

Autorstwo: Bogusław Jeznach
Źródło: NEon24.pl